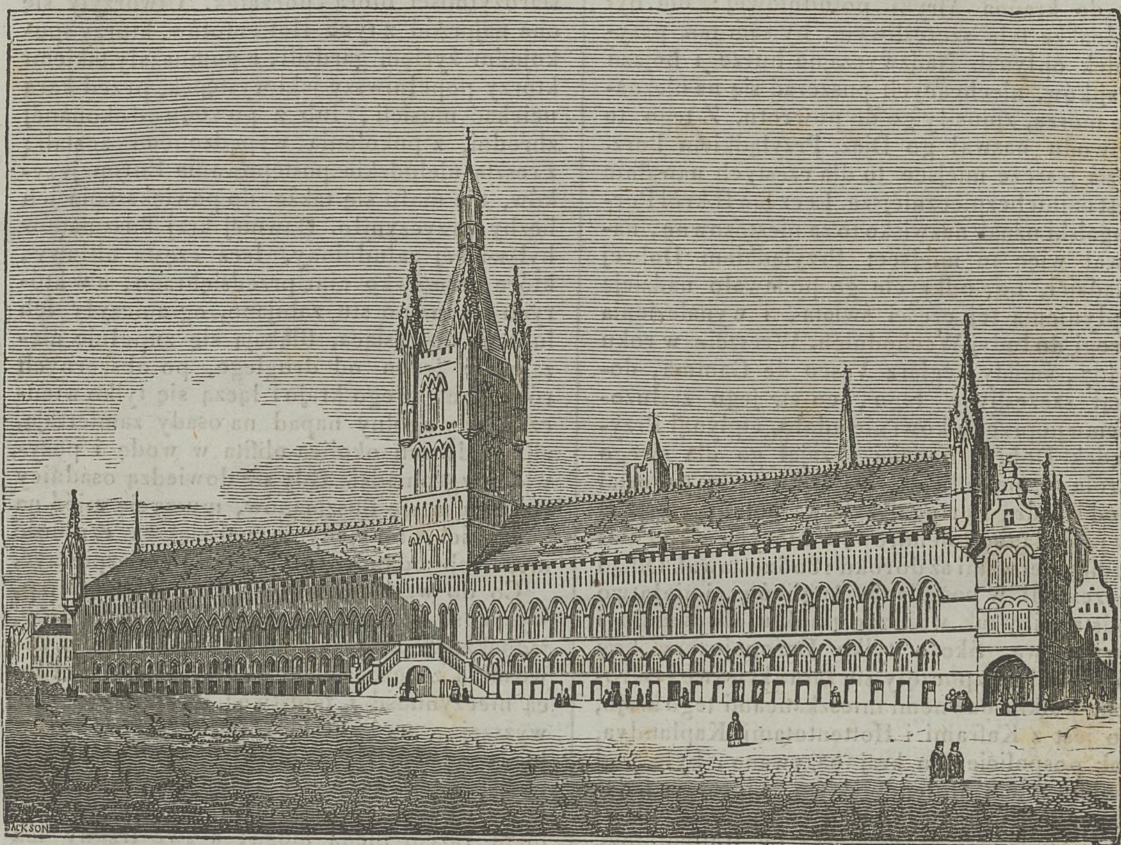


RATUSZ W YPERN.

Ypern albo Ypres, jest jedném z trzech pierwszych miast Flandryi. Ma ludności szesnaście tysięcy. Stoi nad rzeczką zwaną Yper, która przepływając od południa na pułnoc, między Ostendą i Dunkierką do morza wpada. Ta mała rzeka spuszcza się ze wzgórza dosyć wysokiego o kilka mil za miastem, reszta kraju wszędzie jest płaszczyzną, jak cała Belgia. Widok z tego wzgórza na twierdzę i kościoły miasta, na piękne i bogate okolice jest piękny tém bardziéj, że wystawia rozległą rozmaitość lasów, łąk, ogrodów i wsi rozkosznych.

Najpiękniéjszą budową w Ypern jest Ratusz, umieszczony na wielkim i wspaniałym rynku, mający w koło ogromne podsienia. Na południowéj stronie budowy jest wieża wysoka, czworoboczna, która jest dawniéjsza, zbudowana jak mówią. r. 1342.

Po ratuszu najgodniéjszym uwagi jest kościół katedralny. Budowa jego gotycka piękna i lekka, więcéj się zaleca ozdobami, niżeli rozmiarem. Nadto, miasto Yper wiele ma kościołów, osobliwie klasztorów, które przed stu laty, prawie trzecią część miasta składały.

To miasto należało niegdyś do najpierwszych handlownych. Sławne z wielu fabryk, w wieku XIVtym liczyło przeszło dwakroć sto tysięcy ludności. Wnet potém coraz więcéj upadało, i dziś mało ma rękodzielni.

Ypern należało do pierwszych miast które rozwiniętym przemysłem w bogactwa wzrosły. Ich mieszkańcy wezwani przez Edwarda IIIgo, wielką liczbę fabryk do Anglii przenieśli, wprowadzając oraz do tego kraju, przykład zamiłowania pracy i przemysłu. Późniéj królowa Elżbieta powodowana korzyściami ztąd wynikłemi, zwiększyła ludność i bogactwa Wielkiéj Brytanii, otwierając porty fabrykantom, unikającym ówczesnych niespokojności w Hiszpanii i w Niderlandach.

BUSZMANI.

Przy końcu piętnastego wieku, szczególniéj między Portugalczykami powstała wielka chęć, wynalezienia morskiéj drogi do Indyj Wschodnich (o co oddawna już się starano), i czynienia co raz nowych odkryć. Wprzód już Portugalczycy znakomite poczynili zabory w pułnocnéj Afryce (Ceuta) i wiele wysp przy Wschodnich brzegach téj części świata, pod swe panowanie zajęli. Nie poprzestali jednakże na tém; odważni żeglarze płynęli daléj ku południowi, przybyli aż pod równik, i nie mało się zdziwili, widząc że powieści o morskich potworach, i wszystko niszczących upałach słonecznych, były tylko baśniami. Tak udało się Bartłomiejowi Diaz w roku 1486 dopłynąć

aż do krańca Afryki południowéj; nie był jednakże tyle szczęśliwym, by sam ten przylądek opłynął. Nadzwyczajne burze i bojaźń majtków, niechcących puszczać się na nieznane morza, zmusiły go do powrotu. Z tego to powodu nazwał go Diaz, Przylądkiem Burz. Dziś jeszcze miejsce to dla częstych nawałnic jest najniebezpieczniéjsze. Lecz Jan II król Portugalski uznał nazwisko to za niestosowne, nazwał więc to miejsce: Przylądkiem Dobréj Nadziei, bo odkrycie go podawało nadzieję opłynienia téj części świata, i wynalezienia drogi do Indyj Wschodnich. Wreszcie w roku 1497, śmiały żeglarz Vasco de Gamma, dopiął szczęśliwie tego, co się jego zasłużonemu poprzednikowi nie udało. Opłynął Przylądek Dobréj Nadziei i zajął go dla swego króla w posiadłość. Do roku 1650 pozostał pod władzą Portugalczyków, potém przeszedł w posiadanie Holendrów, w których ręku z małemi przerwami aż do roku 1806 zostawał. Odtąd przeszedł w posiadanie Anglików, i niełatwo odstąpiliby tak ważnego punktu dla handlu i żeglarstwa. Skoro tylko Europejczycy kraj ten zajęli, rozpoczęły się zaraz krwawe i okropne walki z dawnemi mieszkańcami tego kraju, to jest z Kaframi i Hottentotami. Kaplandya, jak pospolicie ten kraj nazywano, była pod panowaniem Holenderskiém widownią najokropniéjszych gwałtów, i nieludzkich okrucieństw wymierzanych przeciw Hottentotom, niechcącym opuścić dawnych swych siedlisk. Prędzéj ustąpili Kafrowie nowym przybyszom, i udali się szukać innych siedlisk, na zachodnich brzegach Kaplandyi, a nawet weszli w przyjazne z Europejczykami stosunki. Lecz Hottentoci którzy ośmielili się opierać Europejczykom, doświadczyli całéj okropności nierównéj walki; byli ścigani i wypędzani jak dzikie zwierzęta, wreszcie musieli uledz przemocy, albo się schronić w najniegościnniejsze okolice pułnocne. Część Hottentotów poddała się Europejczykom, i otrzymała pozwolenie mieszkania w ich sąsiedztwie; druga część zdawna odznaczająca się większą dzikością, opierała się ciągle, i wreszcie na pułnoc wypartą została. Do tych ostatnich należą Buszmani, na których dziś zwracamy uwagę czytelników.

Nazwisko Buszman (po holendersku Boschmann, człowiek leśny) oznacza pokolenie dzikich, mieszkające po zagranicą pułnocną osady, i należące do najsurowszych ludów na świecie. Nazwisko takie otrzymali ztąd, że większa część kraju, w którym się pokoleniami błąkają, okryta jest krzewiną, albo, że Buszmani nie otwarcie, lecz zawsze z zakrzaków na ludzi i zwierzęta napadają. Buszmani nie mają żadnych towarzyskich urządzeń, nawet nie uprawiają roli; żyją tylko z łupieztwa, polowania; albo z dzikich płodów natury. Z powieści Hottentotów i Kafrów wnosić można, że dzikie te szczepy w najodleglejszéj starożytności biorą początek. Utworzyły się one najprzód z tych Hottentotów, którzy spokojném życiem gardzili, a pomnażały takiemi którzy popełniwszy jaki występek, przed karą uciekać musieli, lub z powodu dokonanéj zbrodni, z pokolenia wypędzonémi zostali; z resztą nieludzkie postępowanie Europejczyków, nie mało się także do powiększenia ich liczby przyczyniło. Dawniéj kraj Buszmanów był więcéj zaludniony, lecz częste obławy, które przeciwko nim przedsiębrano, a w których na raz po stu zabijano, ograniczyły ich ludność do tysiąca. Błąkają się zupełnie niezależnie jeden od drugiego, po obszernych równinach swego kraju i łączą się tylko wtenczas, gdy ogólny napad na osady zamierzają, albo gdy ich okolica obfita w wodę i pożywienie zgromadzi. Gdy się dowiedzą osadnicy o zebraniu się Buszmanów, muszą się miéć na baczności, bo jedynie największa czujność może ich od nocnego napadu zabezpieczyć.

Co do wzrostu, równają się Hottentotom, wysokość ich jest od pięciu do sześciu stóp, jednakże w dowcipie i sile równie jak w żywości i zręczności, gdy porzucą zwierzęcą nieczynność i lenistwo; daleko ich przewyższają, co wtenczas się tylko przytrafia, kiedy od nieprzyjaciela są zagrożeni, lub gdy im głód dokucza. Są nadzwyczaj wytrwali, żwawi i silni, tak dalece że cały dzień z koniem razem biedz mogą; a swe trzody tak prędko pędzą, że ich rzadko kto doścignąć zdoła. Gdziekolwiek się znajdują, spoglądają z nieufnością dokoła, a całe ich obejście pokazuje, jak wiele ucisku doświadczyć musieli, nim do téj przyszli dzikości. Ścigani jak dzikie zwierzęta, w każdym obcym widzą nieprzyjaciela i upatrują tylko sposobnéj chwili, aby mu szkodzić mogli. Obrazy nie zapominają, owszem, kilka lat nawet odwlekają swą zemstę, dopóki nieznajdą środka do jéj spełnienia. Buszmani unikają starannie wszelkiéj styczności z osadnikami; za ich zbliżeniem, uciekają wgłąb lasów, albo się kryją w swoje nieprzebyte parowy; dla tego dotąd niepodobieństwem było missyonarzom wejść z niemi w związki przyjazne, i objawić im naukę Ewangelii. Chronią się otwartéj walki, starają się podstępem i zdradą dopiąć zamierzonego celu, lecz gdy się znajdą w takiém położeniu, że otwartéj walki uniknąć niepodobna, okazują nadzwyczajne męztwo, godną podziwienia przytomność umysłu i pogardę śmierci.

Najdziksze okrucieństwo jest głównym rysem ich charakteru, i sądziéby prawie można, że na to tylko rozum otrzymali, aby dla swych nieprzyjaciół dłuższe męczarnie i okropniejsze katusze wynaleść mogli. Tak są nienasyceni w swéj zemście, że dla nich jest obojętném nad kim ją wywierają, byleby tylko był ktoś mieszkańcem okolicy, w któréj pokrzywdzeni zostali. Zdaje się, że wszystkie ludzkie uczucia są im obce; niewidać pomiędzy niemi miłości

rodzicielskiéj i synowskiej. Rodzice zabijają swe dzieci, dzieci rodziców, i chełpią się z tego. Jeżeli przyjdzie do waśni pomiędzy ojcem i matką, lub też pomiędzy krewnemi, przeciwna strona zwykle wywiera krwawą zemstę na dzieciach zwycięzcy. Gdy w zapale bitwy zabójstwo popełnią, nie pokazują ztąd żadnego żalu. Rodzice zabijają swe dzieci: jeżeli naprzykład są ułomne, gdy im żywności brakuje, jeżeli ojciec matkę dziecka porzuci, albo gdy są ścigani przez nieprzyjaciela, a dzieci im przeszkadzają do prędkiéj ucieczki. Z dziką obojętnością porzucają swe dzieci na pustyni, duszą, lub żywo zakopują. Pewnego razu stanął lew przed chatą Buszmana, i czekał tylko żeby kto wyszedł. Niemyśląc długo nad sposobem ratunku, wyniósł ojciec dziecko i rzucił je zwierzowi na pożarcie. Lew ucieszony z łupu pobiegł do lasu. Częste są podobne sceny, gdzie rodzice dla uratowania siebie, własne poświęcają dzieci.

Żyją tylko dla teraźniéjszości, nietroszcząc się wiele o przyszłość. Jeżeli mają dostatek, używają, dopóki tylko mogą, po zwierzęcemu bez miary, a potém długo nieraz głód cierpią. Pewien osadnik dał raz Buszmanowi dosyć wielki kawał baraniny; z chciwością porwał ją jak gdyby się obawiał aby mu nie odebrano, włożył na węgle, a wyjąwszy po chwili, jeszcze prawie zupełnie surową, oczyścił tylko z popiołu, rwał na kawały i pożerał. Trzej Buszmani dostali w wieczór barana w podarunku; natychmiast go zabili, i do rana zjedli.

Język ich który jest mieszaniną innych języków, i zdaje się być umyślnie zepsutym dla tego, aby się sami tylko pomiędzy sobą rozumieli, połączony jest z szczególniéjszém kląskaniem języka tak, że raczéj za głos zwierzęcy jak za ukształcone tony mowy ludzkiéj wziąśćby go można. Zmysły ich są do najwyższego stopnia bystre, tam gdzie oko już niedojrzy, ucho ich posłyszy najmniéjszy szelest, któregobyśmy nigdy nie usłyszeli.

Ubiór ich jest bardzo prosty, gruby i niedostateczny. Na biodrach noszą przepaskę, resztę ciała okrywają płaszczem z owczych skór zrobionym, karos zwanym, który przeciwko upałom i zimnu zabezpiecza, a razem w nocy jest ich jedyném pokryciem. Kobiety zwyczajnie zakrywają głowę, mężczyzni zaś wczasie tylko wielkich upałów, lub gdy idą na polowanie. Aby się jednak więcéj przeciw wpływowi powietrza zabezpieczyć; nacierają całe ciało tłustością, przez co nie tak się przepala, i żyły ciągle giętkie zostają; dla tego właśnie trudnoby było właściwy kolor ich ciału naznaczyć. Noszą także cienniki bardzo prosto zrobione, bo tylko na końcu kija przyczepiają wielkie strusie pióra. Wszystko co jest pstrokate i rażącego koloru, podoba się im, i w to się ubierają; lubią więc paciorki szklanne, guziki, mosiądz, i t. p. i niemi szyję, uszy i biodra przystrajają. Gdy tych nie mają, noszą kawałki drzewa, zęby dzikich zwierząt, muszle, lub kawałki jaj strusich. Broń ich składają oszczepy różnego kształtu, łuk i strzały które pospolicie zatruwają. W podróży noszą na głowie przepaskę, za którą kilka strzał zatkniętych.

Ponieważ Buszmani nie mają stałego siedliska, i tylko koczujące życie prowadzą, mało też dbają o swe mieszkania. Chaty swe albo splatają z gałęzi, pod których cieniem szukają schronienia przed upałem, albo kopią dół w ziemi, albo się kryją w jaskiniach lub pod skałami.

Pożywienie Buszmanów składa się z owoców, zwierzyny, a niekiedy dla zaspokojenia swych potrzeb, napadają na trzody osadników. Często wielkim głodem przyciśnieni, muszą jeść pokarmy niezdrowe, albo odymające. Szczególniéj używają nasienia trawy tamtejszéj, które oczyszczone i ugotowane ma mieć smak podobny do naszego jęczmienia. Zbierają je podwójnym sposobem, albo ścinają trawę i ziarno wytrząsają, albo zabiérają czarnym mrówkom, które go sobie wielką ilość do swych mrowisk znoszą. Z królestwa zwierzęcego wszystko od największych zwierząt aż do najmniéjszych, a nawet obrzydliwych owadów służy im za pożywienie. Wielkie zwierzęta, jak naprzykład żebry, szakale, strusie, i t. p. zabijają mężczyzni, kobiety i dzieci polują na zające, skrzeszki, krety, szczury, węże, jaszczurki, szarańcze, mrówki, i t. p. Żołądek i wnętrzności są u nich przysmakami, wątrobę i cynadry zjadają często surowe; a to co się w żołądku zabitych zwierząt znajduje, jedzą lub piją, albo same, albo z wodą zmięszane. Krew bardzo lubią, gotują ją lub piją zaraz ciepłą. Często zjadają również skórę większych zwierząt, co tylko dokuczającym głodem da się usprawiedliwić. Głód czasem do tego dochodzi stopnia, że sobie brzuch mocno ściskają, i jeszcze są bardzo kontenci kiedy ze starych trzewików, lub zeschłéj skóry sporządzić mogą szczupłe i niesmaczne jedzenie.

W polowaniu okazują wiele przemysłu i rozsądku. Broń któréj do tego używają, jest łuk i strzały. Prócz tego chwytają dzikie zwierzęta psami lub w umyślnie na to przyrządzone doły. Jeśli im się poszczęści polowanie, część zdobyczy natychmiast zjadają, resztę schowaną, późniéj na puł upieczoną z wielkim apetytem pożywają.

KLASZTOR NA GORZE S. BERNARDA.

Klasztor czyli dom gościnny S. Bernarda, zbudowany jest na najwyższym punkcie jednego z dwóch przejść prowadzących do Włoch; przez górę tegoż nazwiska. Wysokość jego jes na ośm tysięcy stóp nad powierzchnią morza. W roku 1800 Francuzi pod wodzą Bonapar-



(Psy na Górze S. Bernarda.)

tego w sześć miesięcy po objęciu przezeń konsulatu, przechodzili tę przykrą górę, ciągnąc sami armaty i niosąc na sobie bagaże.

Klasztor wybudowany jest w czworobok podłużny, mury mocne odpowiednie są położeniu budowy. Kościół wielki i ozdobny, refektarz i izby dla ubogich są na dole; wyżéj cele zakonników i mnóstwo pomieszkań dla podróżnych. Zakonnicy chodują dla rozrywki między skałami na miejscach najlepiéj na słońce wystawionych, małe grzędy zasiane w lecie sałatą (łoczygą), i kapustą niezmiernie drobną. Zima ośm miesięcy trwająca powiększa przykrość tych miejsc, już z siebie smutnych, a szczególniéj nabawia pustelników chorób piersiowych.

Archidiakon Bernard de Menthon, pochodzący z szlachetnéj i zamożnéj familii Sabaudzkiéj, wybudował tu w roku 968 na szczątkach dawnéj świątyni Jowisza dom dla podróżnych, który równie jak sama góra, nosi nazwisko tego świętego założyciela. Ta góra zwała się dawniéj górą Jowisza, a przy kopaniu fundamentów znaleziono napisy, naczynia ofierne, medale i małe posążki, których zbiór zachowany jest w klasztorze wraz z zbiorem minerałów miejscowych. Swięty Bernard de Menthon powierzył ten klasztor zakonnikom świętego Augustyna i blizko od 900 lat ten zakład pobożny utrzymuje się wsparciem rządów sąsiednich, składkami dobroczynnemi i ofiarami podróżnych.

Liczba zakonników wynosi około 25 osób powiększéj części Piemontczyków. Obowiązkiem ich jest żywić podróżnych w każdéj porze, i do przejścia gór darmo im przewodników dostarczać. Tych podróżnych trafia się przez rok 7 do 8iu tysięcy. Podczas zimy nakazuje reguła klasztoru wysyłać codziennie, bez względu na stan nieba, dwóch silnych ludzi, przywykłych do gór; jednego ku granicom Włoch, drugiego ku Walii. Ci przez cały dzień przebiegają drogę, mając z sobą psa klasztornego, który wyszukuje drogę śniegiem zasypaną, i czuwa na przybywających podróżnych.

Jeżeli ten wysłaniec zwany na miejscu *maronier*, spotka podróżnika zabłąkanego lub osłabionego trudami, albo jeżeli pies zmyślny da znak, że kto nieszczęśliwy śniegiem jest zasypany, wnet pośpiesza do klasztoru po pomoc. Wtedy kilku zakonników udaje się na miejsce, biorąc z sobą wszystko, co do ratunku potrzeba. Cztéréj otaczają podróżnego, reszta idzie naprzód umiatać śniegi, często do dwudziestu stóp wysokie. Najprzód przyrządzają wodę zimną z lodem, jako najpewniejszy środek otrzeźwienia chorego; jeżeli to się nie uda, wtedy tracą o nim nadzieję. Na ćwierć milki od klasztoru są dwa małe budynki murowane, noszące nazwisko szpitala. Jedno jest schronieniem podróżnych, którzy tu dostają chleba, wina i sera; w drugiém umieszczone są ciała podróżnych, których nie można było uratować. Umarli mają na sobie swe suknie, a powietrze tak tu jest zimne, że czasem po dwu latach, ciała ich rozpoznać można.

Rassa psów na górze S. Bernarda pochodzi z Hiszpanii. Jeden z nich zwany Jupiter, odznaczał się, lat temu cztéry, w oczach podróżujących

olbrzymią postacią i wyższą nad inne zmyślnością. Między wielu osobami, którym ten pies życie ratował, przytaczają szczególniéj, młodą kobietę z dziecięciem. Postrzegł on, że podróżni pokazali się blizko klasztoru, i natychmiast udał się za niemi. Po niejakim czasie jeden maronier postrzegł jego nieobecność, i wnet za jego śladami poszedlszy, znalazł go stojącym w miéjscu bardzo niebezpieczném nad przepaścią, gdzie biédna kobieta z dziecięciem, śmierci bliską już była.

Te psy uprowadzone z góry S. Bernarda, tracą swój charakter, stają się ciężkie, i lękliwie tak, że przed najmniéjszym pieskiem uciekają.

Zakonnicy tego klasztoru są silni i rośli, jednakże mało który z nich dochodzi starości, czego przyczyną wielkie trudy, i brak wygód potrzebnych. W ogóle są ludźmi prostego serca, ich miłosierdzie rozciąga się do wszelkich podróżnych. Religia tylko może nakazać wytrwanie i cierpliwość, w życiu pełném poświęceń i trudów, które zawsze śmierć zawczesną sprowadza.

Rycina powyższa wyobraża psa z góry S. Bernarda, odgarniającego śnieg, który podróżnego przez nagłe zsunięcie się z góry zasypał; co tu często się zdarza; drugi pies donośnym głosem daje znać do klasztoru, i w skutku czego widać przybywającego zakonnika, aby nieszczęśliwego unieść i ratować.

Wielu pisarzów umieściło w swych dziełach piękne opisy, gdzie psy S. Bernarda główną grają rolę. Amerykanin Cooper w ostatnim swoim Romansie *Kat Berneński*, podał je pamięci ludzkiéj pędzlem sobie właściwym.

CZERWONAK (LE FLAMMANT.)

Dziwaczny kształt czerwonaka był przyczyną wielu niepewności między naturalistami, i licznych bajek między podróżnymi; ma on bowiem szczególne cechy wspólne z wieloma innemi rodzajami; ale też ma i takie, które jemu tylko są właściwe. Z takiéj mieszaniny powstaje wątpliwość względem systematycznego pomieszczenia. I tak, z nóg nadzwyczaj wysokich, podobny jest ptakom brodzącym, to jest takim, które po wodach płytszych tylko chodzą, a nie pływają. Mimo to ma znowu palce u nóg błoną spięte jak ptaki pływające, jak np. kaczka, gęś i t. p. Nadto na długiéj, szczupłéj szyi ma głowę bardzo małą, a przy téj dziób wielki najdziwaczniéjszego, bo kolankowatego kształtu, o którym ażeby dokładne powziąść wyobrażenie, odsyłamy czytelnika do załączonego rysunku. Z bajecznych podań o czerwonaku na szczególną uwagę zasługuje następujące. Zakładając czerwonaki gniazda, mówią podróżo-pisarze, zmuszone są robić małe kępki z ziemi w miejscach baguistych, gdzie jaja wysiadywać zwykły, i że



(Czerwonak (le Flammant.)

wczasie ogrzewania jaj, muszą owe kępkowate gniazda tak okraczać jak jeździec siodło, bo swych długich nóg obok jaj przyzwoicie usadowić nie mogą. Jest to pocieszna, ale zbyt widoczna bajka; bo znamy wiele innych ptaków, które mają podobnie długie nogi; a mimo to zwyczajnym tylko sposobem wysiadują swe dzieci.

Zwyczajny, tu odrysowany gatunek, ma zwykle sześć stóp wysokości, a więcéj niż cztéry stóp długości od dzioba do ogona. W pierwszym roku jest cały popielaty, z brunatnawo-czerwonym wierzchem skrzydeł. W drugim roku staje się różawo-biały, a na skrzydłach pięknie różowy. W trzecim roku dostaje różowe pokrycie ciała, a skrzydła purpurowe. Im starszy, tym świetniejsze ma ubarwienie, prócz pierwszych lotek w skrzydłach, które zawsze są ciemno-czarne. Krąży po wodach gromadnie, wśród czapli błękitnych, zielonych wężów, młodych krokodylów przy wyspach rzek Amerykańskich, które to sceny tak malowniczo Chateaubriand opisał. W Ameryce bowiem są te ptaki najliczniejsze, chociaż się znajdują we wszystkich ciepłych krajach na obu pułsferzach. Niektórzy naturaliści utrzymują, iż czerwonaki Amerykańskie osobny gatunek stanowią. Ich kolor więcéj przechodzi w pons, niż w różowy. Żyją zawsze gromadnie; dla łowów szykują się sznurem, a nawet nad brzegami, w szeregach spoczywają. Dla powszechnego bezpieczeństwa ustanawiają straż, i czy siedzą, czy łowią, jeden z nich trzyma zawsze szyję do góry; jeżeli postrzeże niebezpieczeństwo, wydaje wrzask podobny głosowi trąbki, wtedy w jednéj chwili cała gromada ucieka, zachowując w locie regularność podobnie jak wędrujące żurawie.

Ich postać i kolor były wielu myłek powodem. Wyprężając w locie długą szyję i długie nogi, formują niejako postać krzyża, co gmin uważał często za cudowne znaki na niebie. Pod czas wojny rewolucyi francuzkiéj, gdy się na wyspie St. Domingo wylądowania Anglików obawiano, czerwonaki stały się powodem popłochu, o czém tak mówi Rennié: « Murzyn jeden postrzegł o kilka mil angielskich ku morzu, długi szereg czerwonaków, mających skrzydła, zdało mu się, iż to jest wojsko angielskie; długie ich szyje uważał za broń na ramieniu trzymaną, a czerwone pióra były naturalnie mundurem żołnierzy angielskich. Pośpieszył więc do Gonaives, i biegając po ulicach głosił przyjście Anglików; komendant załogi kazał bić alarm, podwoił straże, wysłał oddział wojska na czaty; ale wnet perspektywa przekonała, że to jest tylko wojsko czerwonaków, i żołnierze wrócili do miasta żartując z krwawéj swojéj wyprawy. »

Starożytni bardzo cenili mięso tego ptaka, osobliwie języczek.

Naturaliści usiłowali wprowadzić go do naszego klimatu, ale w nim prędko mdleje i ginie. Jeden miłośnik rzadkich ptaków, który chował czerwonaka, uważał, że podany chléb maczał w wodzie, i raczéj jadł w nocy, niżeli we dnie. Bardzo był drażliwy na zimno, i tak do ognia się cisnął, że ledwo sobie nóg nie popalił. Puch jego tak jest używany, jak łabędzi. Indyanie robią z piór jego czapki. W Sardynii z piszczela wyrzynają gatunek piszczałki, któréj ton ma być bardzo przyjemny.

NIEDZIELA NA WYSPACH SANDWICH.

Niemasz temu lat sześćdziesięciu, gdy Cook odkrył na Oceanie Spokojnym gruppę wysp żyznych, zamieszkałych od ludu przemyślnego, ale pogrążonego w bałwochwalstwie, który nawet ludzi na ofiarę poświęcał. Te wyspy znane pod nazwą Sandwich, zwiedzali różni Europejczykowie w celu poprawy obyczajów i zaszczepienia religijnych wyobrażeń między ich ludem. Pomyślny skutek uwieńczył ich starania, religia chrześciańska zastąpiła bałwochwalstwo i krwawe ofiary na wyspach Sandwickich.

Najnowsze dzienniki uwiadamiają o szybkim postępie cywilizacyi w tych stronach: już tam jest szkoła dla ubogich i drukarnia. Ostatni podróżnik tak mówi o postępie religijnym tego ludu, tylko co dopiero z dzikości wyszłego.

« Ledwo dzień zabłysnął, jeszcześmy śniadania nie zjedli, a już niektórzy wyspiarze okryci szerokiemi płaszczami różnego koloru, przebiegali lasy przyległe odnodze morskiéj, spuszczając się ze wzgórków pułnocnych; ich liczba coraz wzrastała; każda dróżka i wzgórek zaludniły się ludźmi różnego wieku idącemi do kościoła. Dnia wczorajszego, tak mało widzieliśmy łódek koło okrętu, że ta część zdawała nam się prawie bezludną. Wnet postrzegliśmy tłumy ze wszech stron w jedno się miejsce cisnące. Co do mnie, pamięcią czasów niedawnych najmocniéj byłem wzruszony, wspomniałem bowiem, że przed czterema laty ledwo sto mieszkańców zgromadzało się do kościoła.

« Po naszém nabożeństwie na okręcie, spieszyliśmy do kościoła wyspiarzów. Modły już się zaczęły, ale największa część stała jeszcze koło kościoła; dowiedzieliśmy się, że to było z braku miéjsca.

Kościół, chociaż bardzo obszerny mogący mieścić parę tysięcy ludzi, cały był zapełniony; z wielką trudnością dostaliśmy się do krzeseł umyślnie dla nas przygotowanych przed amboną; nie wiedzieliśmy gdzie nogi podziać, aby nie obrazić tłumu pobożnych.

Często bywałem na nabożeństwach w najwspanialszych katedrach, równie jak w najlichszych kośiołkach odpowiednich ubóstwu, w jakiém się Chrystus rodził i umiérał; wiele razy słyszałem najsławniéjszych kaznodziejów Francyi, Anglii i Ameryki, ale w Hido dopiero, doznałem wrażenia religijnego, które na zawsze utkwiło w méj duszy.

Przyznam, że sam widok tych prostych i pobożnych wyspiarzy, którzy tak nie dawno byli ciemnym i surowym ludem, zdał mi się mocniéj mowić do przekonania o bozkości ewangelii, niż wiele mów i dzieł chrześciańsтwo za cel mających.

ŚREDNIA DŁUGOŚĆ ŻYCIA CZŁOWIEKA.

Dostrzeżono, że od początku naszego wieku prawie we wszystkich krajach Europy, ludzie dłużéj żyją, niżeli wprzódy. Nie tak bogaci umierają wcześnie ze zbytków, jak nieczystość i niedostatek skraca życie ubogich. Dobry byt daje nadzieję długiego życia, ubóstwo popycha ku śmierci. W dobrym bycie, długie życie; mawiano dawniéj.

Według statystów w Anglii, średnia długość życia dochodzi lat 45, gdy według Karola Dupin, we Francyi dochodzi tylko lat 36; a nawet według rocznika *Biura długości* tylko do roku 32½. Średniéj długości życia tym sposobem dochodzimy, iż ludność jednego miasta, prowincyi, lub kraju, jako stałą przyjmujemy, gdzie rocznie równa ilość się rodzi, jak umiera, i gdy całą summę lat ludności, przez ilość indiwiduów dzielimy. Jednakże średnia długość życia różną jest według miejsca; co od dobrego bytu, czystości, oświaty i dobrych urządzeń lekarskich zawisło. Jeżeli mieszkańcy jednego miejsca mający te wszystkie korzyści, nie tak długo żyją, jak inni, pozbawieni onych w innem miejscu, to pochodzi z ukrytych przyczyn, których dochodzenie jest obowiązkiem. W Genewie średnia

długość życia była w wieku XVItym lat $18\frac{1}{2}$; w XVIItym $23\frac{1}{3}$, a w XVIIItym $32\frac{1}{2}$. W Lyonie jest teraz 32, w Bruxelli 26, a w Nizza 31 lat. Gdy klassy majętniéjsze w Paryżu dochodzą lat 42, ubodzy żyją tylko lat 24.

Jeden sposób do życia zdrowszym jest, niżeli drugi. Jednakże, niema żadnéj zasady powszechne mniemanie, iż prace naukowe życie ukracają. Szczególniéj długo żyją duchowni. Włoch Franchini obliczył, że z 80 włoskich matematyków, 18tu doszło lat 80 a 2ch lat 90. Uważano, że między 152 uczonymi we Francyi, średnia długość życia każdego wynosi lat 69. Należałoby czynić równie staranne poszukiwania o średniéj długości życia wszelkiego rodzaju rzemieślników, i według tego, usuwać przyczyny szkodliwości zdrowia.

UWAGI DLA ROLNIKÓW.

Nikt dobrym rolnikiem nie będzie, kto nie ma obyczajów wiejskich, jeżeli nie mieszka na wsi, i sam we wszystko nie wgląda.

Największa czynność jest próżnowaniem, jeśli nią nie kieruje porządek.

Obok przesądów niewiadomości, są przesądy ulepszeń, czerpane z książek i prawideł ogólnych.

Zamieniać skuteczne doświadczenie w danéj okoliczności w ogólne prawidło, jest to przyczyniać przesądu.

Najgorsze są przesądy wynikłe z teoryi pisanych przez ludzi bez doświadczenia.

Duch obserwacyi tak jest potrzebny rolnikom, jak lekarzom.

Rolnik nie powinien być nigdy wyłącznym. Uprawiać jednę część gospodarstwa ze szkodą drugiéj, jest to nie mieć prawdziwego zamiłowania w rolnictwie.

Obok téj, która w danym czasie, najwięcéj przynosi, nie trzeba zaniedbywać innych części rolnictwa.

Rolnik nowy niedoświadczony, niechaj zaczyna od sposobów najprostszych, zwyczajem na miejscu uświęconym; niech wprzód radzi się sąsiadów, niż książek, wprzód poczciwych chłopków miejscowych, niż ekonoma; niech się stara nie wiele z razu wkładać na doświadczenia, które jako dla niego, zawsze więcéj są ryzykowne.

Pierwszém staraniem jego; niech będzie ziarno, pasza, bydło i nawóz.

SZARLATANI W DAWNYCH CZASACH.

Sztuka lekarska przed 60-70 laty była w wielu względach sztuką wolną. Wiele jéj gałęzi, a właśnie najtrudniéjszych, wykonywać mógł każdy, kto miał dosyć czelności na mistrza się narzucić, i którym szczęście pozwoliło, nie wszystkich zabić, co w ich ręce popadli. Gdzie i jak się ci ludzie do tego kształcili, o to nikt nie pytał. Zwykle ci Jchmoście przedstawiali się na rynkach, na jarmarkach, i równie wyższe jak niższe klassy ludu przez najdziwaczniéjsze krotofile zwabiali.

Zwykle w czasie jarmarków ukazywali się na wielkich szczególnych wozach, okrytych czerwoném i niebieskiém suknem, ozdobioném książęcemi herbami. Około niego stały inne wozy i rusztowania wystawiające różne obrazy. Na jednym wznosiła się góra Sinai, na drugim plac S. Marka w Wenecyi. Tu był wymalowany operator oczu, tam operator kamienia, raka i t. d. tu wyprożniał opuchłego jak beczkę piwa, tam wypędzał glisty, i żaby. Hanswurst, albo sam, albo z innémi, przedstawiał najbrudniéjszą krotofilę, na którą cała się publiczność zbiegała. Na ostatku sam wielki mistrz wystąpił. Najczęściéj wyjeżdżał na pysznie ubranym koniu, za nim dwaj służący między któremi prawie zawsze był murzyn. Potém wystąpił na scenę przyjmowany przez Hanswursta i jego komparsów. Przeszedłszy się nieco po scenie i pomówiwszy z niemi, wystąpił przed lud wierzący, i głosił, że jest przywilejowanym operatorem raka, kamienia, oczu i t. d. że jest sławnym po całym świecie chirurgiem i lekarzem, tych a tych książąt nadwornym doktorem. Tak szumno i głośno się zaleciwszy, kazał podać szkatułkę z prawdziwą niby wenecką dryakwią, i dawał go w koło kosztować. Ale sam obiecał zaraz w obecności wszystkich zrobić daleko kosztowniéjszą dryakiew, czego też w puł godziny dokazał. Do téj mieszaniny wpływały różne rzeczy najmniéj z 60ciu pudełek. Wtedy rozpoczęła się przedaż nie tylko dryakwi, ale różnych cudownych maści, na pluca i żołądek, na kurcze, i t. p. o którą pospolicie bili się kupujący. Nawet znakomite osoby, nie wahały się, u tych szarlatanów porady szukać.

ROZMAITOŚCI Z HISTORYI NATURALNÉJ.

Podczas zbioru pszenicy, bocian długo-nogi opuszcza nasze kraje, gdy właśnie dzieci latać wyuczył, długo je do tego przy gniaździe wprawiając. Nie pojętne zrzucał z dachu, a tak musiały się nauczyć roztaczać skrzydła. Mógłby on dłużéj tu bawić, gdyż co do żywności, miałby jeszcze przez cały Wrzesień dostatek żab i t. p. ale podróż jego jest daleka, do któréj więcéj czasu potrzebuje, niżeli jaskułki.

Co do mocy trawienia, bocian ze strusiem porównać się może. *Goetze*, naturalista niemiecki znalazł w żołądku bociana, kawałki szkła, krzemienie, więcéj jak 60 pestek wiśniowych, ostrze scyzoryka, a przecież żołądek, którego fałdy tak były twarde, jak skóra spalona, bynajmniéj uszkodzony nie był.



SZTUKI GYMNASTYCZNE U CHIŃCZYKÓW.

Sztuki gymnastyczne znane były w najodleglejszéj starożytności. W każdym kraju, gdzie oświata czyniła postęp, gdzie się wzmagały miasta, a tém samém i liczba ciekawych rosła, znajdziesz mnóstwo ludzi, którym w udziele dostał się los smutny, zabawiania drugich z narażeniem własnego życia. Już starożytny Homer wspomina w pieniach swoich o skoczkach i kuglarzach. Place Aten i Rzymu służyły długo za scenę podobnym widowiskom, a sztukmistrze od przechodniów nie pieniędzy, lecz tylko kilku chwil uwagi wymagali. Poeta Klaudian zostawił nam wierszem opis najniebezpieczniéjszéj z sztuk gymnastycznych, pyramidą zwanéj. W późniéjszych wiekach z tych zabaw bezpożytecznych zrobiono umiejętność. W Anglii upowszechnił je sławny Belzoni, nim się stał jednym z najbieglejszych tłumaczów starożytności Egipskich. Włochy których największą rozrywkę stanowią sztuki pod golém wykonywane niebem i którym słusznie należy imię głównéj szkoły kuglarzy, nie mogą sobie wyłącznie palmy przysądzać, bo Chinczycy bez wątpienia wyrównywają im, szczególniéj co się tycze pyramidy. Ta, któréj obraz przyłączamy, przedstawiona była na teatrze Pekińskim, i pozyskała oklaski krajowców i cudzoziemców. Zdaniem najbieglejszych, nic podobnego dotąd nie widziano, bo jakiejże trzeba zręczności, chcąc wznieść tak wysoko stosy żyjące, podobne do owych wież, zamków warownych, zwodzonych mostów, które dzieci z zapałem budują i z równą radością obalają. Pyramidę wspomnioną utworzono następującym sposobem. Czterech silnych ludzi złożyło niezachwianą podstawę budowy, i dwóch stanęło na barkach tworzących piedestał i podparło trzeciego; ten znowu czwartego, któren dostał się na swoje miejsce za pomocą téj podwójnéj drabiny. Ostatni ujął silnie podanego sobie piątego człowieka, i utrzymywał go wtém położeniu nie bardzo przyjemném, a pobujawszy się w powietrzu przez parę minut, rzucił nieboraka w tłum widzów, których ręce przyjęły go wśród licznych okrzyków. Niewiadmo czyli szczyt pyramidy zawsze szczęśliwie na ziemię powraca.

Adyson opisuje w swoich włoskich podróżach widowisko ulubione Wenecyan, w te słowa.

« Wesołe rzemieślników zebranie potrafiło za pomocą belek, wznieść doskonałą pyramidę o sześciu piętrach. Ciężar tak rozłożono, że każdemu równa część jego przypadła. Piętra coraz się zwężały, dziecko stojące na szczycie wyobrażało strzałkę pyramidalną, a po niejakim czasie zsunęło się wzdłuż tego muru ruchomego, który tysiące rąk tworzył. Pyramida Wenecka jest wzniesiona według ścisłych przepisów sztuki, ale nie połącza niebezpieczeństw pyramidy Chińskiéj. Chińskiemu więc kuglarzowi słusznie należy palma zręczności i odwagi.

UWIADOMIENIE.

Prenumerata na *Magazyn Powszechny*, przyjmuje się ciągle w Warszawie, i w Urzędach pocztowych na prowincyi. Początkowe numera, których z powodu skwapliwego rozkupienia, przez niejaki czas niedostawało, już są przysposobione i prenumerujący może teraz odebrać kompletny exemplarz od początku.

CENA PRENUMERATY.

w Warszawie, W kantorze Głównym przy księgarni J. Glücksberga w blizkości pałacu daw. Mostowskich, teraz Kom. Rząd. Spr. Wew. Duch. i Ośw. Publ. oraz w innych Księgarniach i kantorach rocznie Zł. 18.
— — — pułrocznie Zł. 10.

Na prowincyi, w urzędach pocztowych rocznie Zł. 24.
— — — pułrocznie Zł 13.

Można także prenumerować na urzędach pocztowych zagranicznych, oraz u następujących Księgarzy:

w *St. Petersburgu*, u A. Smirdina.
w *Wilnie*, u T. Glücksberga.
w *Krakowie*, u D. E. Friedleina.
we *Lwowie*, i w całej Galicyi u wszystkich tamecznych Księgarzy.
w *Poznaniu*, u T. Scherka.
w *Wrocławiu*, u W. G. Korna. i u S. Schlettera.
w *Lipsku*, u Bossange père.
w *Wiedniu*, u Schaumburg i komp.

Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk, przez zatrudnienie się zbieraniém prenumeraty, otrzymują na 12tu exemplarzach 13ty *gratis*.

WYDAWCY: Bossange père, Jan Glücksberg, Józef Kaczanowski, August Emanuel Glücksberg.
w Warszawie, w Drukarni przy Ulicy Rymarskiej N. 744.